

Mieczysław Wojciechowski

Czy współpraca rodziców ze szkołą jest możliwa?

(subiektywny i tendencyjnie stronniczy obraz szkoły)

Nietrudno jest rozwijać na papierze idealistyczne wizje czegokolwiek – w tym także np. współpracy rodziców ze szkołą czy nauczycielami. Ich wadą jest jednak to, że nawet nie wiadomo, czy ktokolwiek je czyta. A gdyby nawet przeczytał – a był rodzicem bądź nauczycielem – to zupełnie nie wiadomo, jak by na taką wizję zareagował. A nawet są podejrzenia, że zareagowałby krytycznie, bo praktyka daleko odbiega od jakichkolwiek ideałów i ów domniemany czytelnik zapewne poprzestałby na iluś sceptycznych refleksjach, w gorszych zaś przypadkach – na uznaniu autora wizji za marzyciela lub teoretyka, nieświadomego jak wygląda rzeczywistość. Takie są najczęstsze losy różnych zbawiennych idei, które miałyby wprowadzić udoskonalenie czy przynajmniej ożywienie rzeczywistości szkolnej – chociażby w aspekcie współpracy między szkołą a rodzicami.

Przyznam, że moich około 20 lat pracy w oświacie także i ze mnie uczyniło sceptyka, jeśli chodzi o zreformowanie w niej czegokolwiek w sensie systemowym, choćby nawet chodziło o taki „drobiazg”, jak określenie rozsądnych zasad współpracy pomiędzy wymienionymi grupami osób. Zawsze przy tym pozostają oczywiście działania pojedynczych rodziców i pojedynczych nauczycieli entuzjastów. Oni potrafią na ogół znaleźć dla siebie własną indywidualną drogę współpracy, która okazuje się jednak nie do końca przekładalna na inne sytuacje i inne osoby. Gdy się zastanowimy, dlaczego tak się dzieje, łatwo dojść do oczywistego wniosku, że jest to po prostu efekt przede wszystkim indywidualnych, osobowych cech danego nauczyciela czy grupy rodziców, w połączeniu ze szczęśliwym splotem okoliczności, dzięki któremu doszło do w gruncie rzeczy przypadkowego spotkania osób, których wewnętrzne zasoby cech osobistych okazały się wystarczające do zaistnienia satysfakcjonującej obie strony współpracy (sam miałem szczęście przeżyć coś podobnego w ciągu kilku lat szkolnych jednego z moich synów – dziękuję, Pani Wiero!). Ale tacy nauczyciele entuzjaści to wyjątki: w sumie najwyżej kilka procent w całym systemie.

Ale, oczywiście, nie musimy poprzestawać na przypadku. Zakładamy, że – przynajmniej niektórzy – są w stanie czegoś się nauczyć, choćby nawet właśnie od tych, którym się powiodło. Jeśli jednak chcemy nadal pozostać realistami, to musimy pamiętać, po pierwsze, że nie wszyscy tego będą chcieli, inni zaś nie będą tego w stanie wcielić w życie ze względu na osobiste (wewnętrzne) i systemowe (zewnętrzne) ograniczenia.

Dlatego tym właśnie ograniczeniom warto się przyjrzeć, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, wyjaśniają one, dlaczego teoretyczne rozważania pozostają często tylko na papierze. Może to oszczędzić dużo czasu, bezpowrotnie traconego na utopijne zalecenia, które nigdy – albo jedynie w niewielkim i niezadowalającym stopniu – mają szansę zaistnieć w rzeczywistości.

Po drugie, takie podejście do problemu jest uzasadnione także wtedy, gdybyśmy rzeczywiście chcieli osiągnąć jakieś pozytywne rezultaty. Nie mogą one przecież być osiągnięte z pominięciem i bez usunięcia przeszkód. Taka analiza będzie więc tak czy inaczej niezbędna do uzyskania realnych efektów – choć sama w sobie do tego nie wystarczy.

Tak więc, w gruncie rzeczy, ten tekst musiałby być zatytułowany: dlaczego współpraca między rodzicami a szkołą jest tak trudna i najczęściej nieudana?

Czego oczekują nauczyciele?

Podstawową kwestią są całkowicie odmienne, a w gruncie rzeczy sprzeczne wyobrażenia tej współpracy wśród rodziców i wśród nauczycieli: Każda z tych grup widzi ową współpracę zupełnie inaczej. Jak? Nauczyciele pojmują współpracę jako sytuację, w której rodzice są niejako przedłużeniem ich nauczycielskiej „władzy”. Chcieliby mianowicie dwóch podstawowych rzeczy: po pierwsze, aby

rodzice przejmowali w domu rolę zastępczych nauczycieli, tzn. aby wzięli pełną odpowiedzialność za odrabianie lekcji przez swoje dzieci, a także uzupełniali wszelkie braki wiedzy u swoich pociech. Po drugie, nauczyciele – mówimy stale o znaczącej większości, niekoniecznie o wszystkich – chcieliby, aby rodzice usuwali z dzieci wszelkie takie zachowania, które sprawiają nauczycielom kłopoty i przeszkadzają realizować program dydaktyczny.

Jest jeszcze jeden dodatkowy element tych oczekiwań, mianowicie większość nauczycieli traktuje rodziców jak swoich uczniów, to znaczy ma – czasem niejasne, czasem zupełnie wyraźne – przekonanie, że mogą rodziców pouczać, strofować i stawiać im wymagania.

Reakcje rodziców

Powyższe nauczycielskie postawy spotykają się z dwiema podstawowymi reakcjami rodziców. Część z nich ulega tej wizji wzajemnych relacji proponowanej przez nauczycieli i staje się przedłużeniem nauczycielskiej „władzy” we własnym domu. Ta grupa rodziców do późna w nocy odrabia z dziećmi – a czasem za dzieci – prace domowe i/lub surowo egzekwuje wychowawcze wyobrażenia nauczycieli. Zaś owe wychowawcze wyobrażenia są proste: dziecko ma być „grzeczne” i „nie przeszkadzać” nauczycielowi, gdy on oddaje się „realizacji programu”.

Szczególnie dużo uroku ma to w przypadku samotnych matek, albo takich, których mężowie mało uczestniczą w wychowaniu własnych dzieci. Niektóre trafiały do mnie jako do psychologa w poszukiwaniu porady: jak się wyśpać, gdy rano trzeba do pracy, dziecko nie rozumie, a mama zdenerwowana tym, że „Pani” wkrótce znowu „wezwie” ją w sprawie „zachowania” jej dziecka, albo napisze w dzienniczku, że dziecko „nie odrabia” lekcji – co jest podsyte krytyką mamy, połączoną z wezwaniem, by mama solidnie wypełniała swoje obowiązki.

Druga grupa rodziców na te same postawy nauczycielskie reaguje – na odwrót – agresją. Są to ci rodzice, którzy „sprawiają kłopoty” nauczycielom swoją nieprzyjazną, niechętną czy wręcz wrogą postawą. Nauczyciele widzą coś nienaturalnego w tym, że rodzice tacy nie chcą się poddać uzasadnionej – w opinii nauczycieli – szkolnej „władzy” i interpretują ich zachowanie w kategoriach roszczeniowości (rodziców), niewydolności rodzicielskiej czy wręcz patologii.

Nauczycielom wydaje się oczywiste, że w takich przypadkach „padają ofiarą” rodziców, któ-

rzy źle wywiązują się ze swoich obowiązków wobec nauczycieli i szkoły i są skłonni poszukiwać czasem sposobu, aby zmusić rodzica, by stał się bardziej posłuszny.

Zmiana tendencji

Niedawno przeczytaliśmy w prasie o procesie wygrany przez ucznia w sporze ze szkołą. Podobno, jak pisze dziennikarz – na nauczycieli „padł błąd strach”. Ja jednak zwróciłem uwagę nie tylko na wyrok, ale na inne szczegóły sytuacyjnego kontekstu, które – choć zapewne w sposób niezamierzony przez autora tekstu – potwierdzają siłę mechanizmów, o których piszę. Zanim bowiem sąd wydał wyrok, uczeń poniósł wszelkie konsekwencje nauczycielskiej samowoli – zarówno pedagogicznej, jak i prawnej. Po pierwsze zatem punktem wyjścia było rzeczywiście ewidentne nadużycie systemu ocen ze strony nauczycielki, która w niedopuszczalny sposób zaniżała oceny z przedmiotu w związku z nieobecnościami ucznia (nawet usprawiedliwionymi chorobą). Już sam ten fakt mówi coś o poczuciu nauczycielskiej władzy. Gdyby komuś nie wystarczyło danych z samej obserwacji życia szkoły, to dodatkowych potwierdzeń, że nie jest to praktyka w szkole odosobniona, dostarcza sam przebieg opisywanych wydarzeń. Otóż historia interwencji zarówno grupy uczniów, jak i rodziców, jest długa, a zaczyna się od prośby o zmianę kryteriów oceniania. W reakcji, zamiast merytorycznej rozmowy mamy do czynienia z obrażeniem się nauczycielki na uczniów i uznaniem ich za buntowników. Kolejnym elementem jest bezczynność – może bezradność – dyrekcji, która w takim stanie rzeczy nie widzi wystarczających powodów do jego zmiany. Wynika więc z tego, że dyrekcja uważa taki układ za naturalny i akceptowalny. Mamy dalej do czynienia z histerią nauczycielki, szantażującą dyrektora, że odejdzie ze szkoły, jeśli jej nielegalna procedura oceniania będzie podważona, dalej – z nagonką i zastraszaniem uczniów, którzy kolejno się wycofywali ze swoich oczekiwań, a wreszcie z odejściem ze szkoły głównego bohatera – tj. ucznia, który zainicjował dochodzenie uczniowskich praw, sporządzając odpowiednią petycję, pod którą początkowo podpisało się też wielu innych uczniów. Rzecz ciekawa, że sprawę do sądu podał uczeń dopiero wówczas, gdy znalazł się poza szkołą i to tylko dlatego, że miał wsparcie swojego ojca – prawnika.

Bizantyjski stosunek do prawa

Ciekawe były też komentarze nauczycieli po wyroku – dominowało w nich ubolewanie, że uczni-

wie „coraz lepiej wykorzystują prawo”. Nie było to powiedziane z uznaniem, lecz z naganą. O Polakach mówi się często, że brakuje im świadomości prawnej. Nauczyciele mogliby ją wspierać i rozwijać. Mogłoby się wydawać, że powinno im na tym zależeć w ramach realizacji wychowawczych celów. Tęsknoty biegną jednak w odwrotnym kierunku. Mogłem się o tym wielokrotnie przekonać przy okazji moich szkoleń, w trakcie których miałem możliwość rozmawiać w sumie z setkami nauczycieli. Zdumiewała mnie tendencja do traktowania praw ucznia jako zamachu na wolność – w gruncie rzeczy samowolę – nauczycieli i nieustanna batalia o udowodnienie uczniom, że nauczyciel jest ważniejszy niż prawo. Dotyczy to – przynajmniej w zauważalnej liczbie przypadków – nawet orzeczeń psychologiczno-pedagogicznych; wielu nauczycieli traktuje je jako próbę „wymigania się” ucznia od nauczycielskich wymagań, na co naturalną reakcją bywa ignorowanie zaleceń. Często próbowałem w dyskusji pokazać nauczycielom, że respektowanie prawa jest dla nich korzystne, bo w gruncie rzeczy zwalnia ich z obowiązku stawiania uczniowi zbyt wysokich dla niego wymagań i z nieustannej walki z jego brakiem motywacji i niskimi efektami nauczania. Odnosiłem jednak wrażenie, że nauczyciele czuli się niejako wręcz ponizeni faktem, że prawo usiłuje jakoś ingerować w to, co robią z uczniem.

Feudalna wizja wzajemnych relacji

„Własnościowy” stosunek do ucznia wydaje się wielu nauczycielom ich naturalnym, nadrzędnym prawem. Podobne nastawienie obejmuje też rodziców: słyszałem wypowiedzi, podszyte niezadowolaniem albo wręcz oburzeniem, że to rodzice, a nie nauczyciele, decydują o niektórych kwestiach dotyczących ich dzieci. Żal, oburzenie, bezradność, poczucie, że służy to wyłącznie niezrozumiałemu i nieuzasadnionemu ograniczaniu nauczyciela. Jeśli istnieje nieświadomość prawa, to w głównej mierze dotyczy ona przede wszystkim nauczycieli. I jeśli będzie ona wzrastać, to nie dzięki, a wbrew nim.

Jedna z nauczycielek, komentujących wspomniany wcześniej proces sądowy ucznia przeciwko szkole, z nostalgią wspominała czasy, gdy „wezwany” przez nią rodzic w jej obecności „potrafił wkropić w tyłek” swojemu dziecku, gdy nauczycielka poskarżyła się na oceny dziecka z nauczania przez nią przedmiotu.

Ciekawe, że dziennikarz nie zadał dodatkowych pytań w rodzaju: „czy takiej właśnie interwencji oczekuje pani od rodziców?” albo „czy uważa to pani za dobrą metodę wychowawczą?”,

„czy jest pani zwolenniczką kar fizycznych wobec dzieci?” bądź „jakie metody nauczania pani stosuje, aby zachęcić dzieci do nauki?”. Dziennikarz przyjmuje kompromitującą nauczycielkę wypowiedź jako coś naturalnego, bo sam jest produktem tego samego systemu szkolnego i uznaje za rzecz naturalną sposób myślenia nauczycieli.

Myśleć pozytywnie?

Wielokrotnie byłem krytykowany za... zbyt krytyczny stosunek do szkoły. Sugerowano, że powinienem myśleć i wypowiadać się bardziej „pozytywnie”. Niestety, w wydaniu nieświadomie groteskowym, o zbliżonej sensowności jak w dowcipie – bodaj – Laskowika: „a dlaczego narzekasz, że traktor nie ma jednego koła? Ty mów, że ma trzy!”. To nie jest ośmieszenie pozytywnego myślenia – którego sam jestem zwolennikiem i orędownikiem – lecz ośmieszenie infantylnego, płytkiego czy wręcz prostackiego jego interpretowania. Moje pozytywne myślenie polega na przekonaniu, że nazywanie problemów po imieniu – nie zaś zmiana tematu na przyjemniejszy – sprzyja ich rozwiązywaniu. Liczę też na „prawo opresji”: jeśli patologia przekracza pewną granicę wytrzymałości ofiar, wtedy może to je zmobilizować do robienia „rewolucji oddolnej” – skoro nie można liczyć na odgórną. Ale najwięcej nadziei daje mi prawne usankcjonowanie legalnego wyzwolenia się ze zmuszającego i – tu mój pesymizm – niemożliwego do naprawy systemu. Mam na myśli możliwość nauczania domowego na odpowiedzialność rodziców. Zwłaszcza że ten rodzaj nauczania w Polsce dopiero raczkuje, tymczasem w innych krajach jest na tym obszarze więcej sprawdzonych doświadczeń i rozwiązań, z których można czerpać.

Czy odbiegłem od tematu? Nie, ponieważ starałem się tu wyjaśnić, dlaczego – moim zdaniem – istotna, rzeczowa współpraca rodziców i nauczycieli nie jest możliwa. Rodzice, nawet gdy nie wszyscy – a właściwie tylko nieliczni – mają pedagogiczną świadomość, to choćby tylko intuicyjnie będą unikać (i robią to) wchodzenia w bliskie relacje ze szkołą, która przewiduje dla nich głównie rolę posłusznego wykonawcy nauczycielskich wymagań. Które, co gorsza, w większości stanowią efekt zarówno ignorancji pedagogicznej i prawnej, jak też arogancji. Na takich warunkach współpraca istnieć nie może. I dlatego są z nią – i będą nadal – poważne kłopoty.

Autor jest psychologiem z 30-letnim stażem pracy, m.in. w Szkolnym Ośrodku Socjoterapii oraz w ośrodkach doskonalenia nauczycieli